James H. Schmitz

Podobieństwo

(The Other Likeness)

`

Analog, July 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "The Other Likeness" by James H. Schmitz, published by Project Gutenberg, November 3, 2009 [EBook #30398].
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Analog Science Fact & Fiction July 1962. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Nagle dr Halder Leorm poczuł ostre mrowienie skóry na nadgarstku, wywołane przez znajdujące się pod zegarkiem urządzenie alarmowe. Odwrócił się nieśpiesznie od płytki z preparatem, który właśnie badał i ruszył koło technika laboratoryjnego do pomieszczenia radiacyjnego. Wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Zdjął urządzenie z nadgarstka, otworzył jego tylną płytkę i przysunął je do oka.

Spoglądał na salon w swoim domu, pięćdziesiąt mil stąd, w innej części Draise, wielkiego miasta na Orado. Kilka kroków od wejścia, na dywanie leżał na plecach mężczyzna, z zamkniętymi oczyma i mocno zaczerwienioną twarzą. Ewidentnie był nieprzytomny. Leorm zacisnął wargi. Mężczyzną na dywanie był dr Atteo, jego nowy asystent, przydzielony do laboratorium na początku tygodnia. Znajdujące się za Atteo wejście części do dostawczej rezydencji i parking dla samochodów, stało otworem.

Szybkim wyćwiczonym ruchem dotykając palcem obrzeża niewielkiego czujnika, doktor Leorm przesunął podgląd na inne części domu, i w końcu na parking. Stał na nim tylko pusty samochód powietrzny; jak okiem sięgnąć nie było nikogo widać.

Halder westchnął, założył urządzenie z powrotem na rękę i popatrzył na wiszące na ścianie lustro. Twarz mu pobladła, ale wyglądał dostatecznie spokojnie. Wychodząc z pomieszczenie radiacyjnego, wziął kapelusz i powiedział do technika:

— Zapomniałem ci o tym powiedzieć, Reef, ale znowu będę musiał wpaść do centralnych laboratoriów.

Reef, duży, rudowłosy młody człowiek, rozejrzał się dokoła z lekkim zaskoczeniem.

— Nie mają serca, co drugi dzień tak cię ciągnąć przez całe miasto! — zauważył. — Czego dzisiaj znowu od ciebie chcą?

— Nie powiedzieli mi. Najwyraźniej wyskoczyło im coś pilnego i chcą zasięgnąć mojej opinii na ten temat.

— Taaa, już to widzę! — Reef podrapał się po głowie i obrzucił wzrokiem rzędy płytek z preparatami. — No cóż… W tej chwili nie dzieje się tu nic takiego, czym nie mógłbym się zająć, nawet jeśli Atteo się nie pokaże. Czy wrócisz jeszcze przed wieczorem?

— Nie liczyłbym na to — odparł Halder. — Wiesz przecież jak długo potrafią trwać te nasiadówki.

— Acha. No dobrze, panie doktorze, jeśli nie zobaczymy się już dzisiaj, proszę przekazać wyrazy miłości, swej pięknej małżonce.

Halder uśmiechnął się do niego z wejścia.

— Oczywiście, Reef!

Zasunął za sobą drzwi i ruszył w stronę poziomu wyjściowego wielkiej fabryki farmaceutycznej. Reef zachowywał się zupełnie normalnie. Jeżeli, co wydawało się bardzo prawdopodobne, „doktor Atteo” był agentem Federacji, zajmującym się śledztwem w sprawie doktora Haldera Leorma, współpracownicy Haldera widocznie nie byli świadomi że coś takiego ma miejsce. Acha, pomyślał sobie Halder, musi natychmiast ostrzec Kilby. Całkiem możliwe było, że jeszcze zanim wyjdzie z budynku spróbują go aresztować.

Wszedł do pierwszej napotkanej po drodze kabiny ComWebu i wybrał numer do biura Kilby. Jego żona zajmowała się obsługą biurową jednego z największych sklepów z ubraniami w części rezydencjalnej Draise, i – co w obecnej sytuacji było bardzo fortunne – miała odrębne biuro. Jej twarz pojawiła się na znajdującym się przed nim ekranie niemal natychmiast, młoda twarz, o delikatnych rysach i dużych szarych oczach. Uśmiechnęła się z przyjemnym zaskoczeniem.

— Cześć, Halder!

— Cześć, Kilby… Czyżbyś zapomniała?

Uśmiech Kilby zmienił się w pytający.

— Zapomniałam o czym?

— Że mieliśmy dzisiaj zjeść razem lunch, w Hasminie.

Halder przerwał, widząc jak policzki Kilby szybko zmieniają kolor z różowego na blady.

— Rzeczywiście! — wyszeptała. — Zupełnie zapomniałam. Byłam dziś strasznie zajęta… i… Zaraz wychodzę! Może być?

Halder uśmiechnął się. Przeszła pierwsze chwile wstrząsu i powinna jakoś dać sobie radę. Przecież poczynili bardzo dokładne przygotowania na dzień, w którym może się okazać, że podejrzenia Federacji, nawet wstępnie, zwróciły się w ich stronę.

— Absolutnie — odparł. — Dzwonię z laboratorium i właśnie stąd wychodzę — zrobił niemal niedostrzegalną przerwę — chyba, że coś mi przeszkodzi. Tak więc, spotkamy się w Hasminie, za mniej więcej dwadzieścia minut.

Oczy Kilby błyskawicznie mrugnęły. Jeśli Halderowi nie uda się wyrwać, miała zająć się swoją własną ucieczką, tak jak było zaplanowane. Dała mu sygnał, że zrozumiała. Obdarzyła go drżącym uśmiechem.

— Wybaczysz mi moje zapominalstwo?

— Oczywiście — odpowiedział jej uśmiechem Halder.

Halder zdawał sobie sprawę, że na bramce przy wyjściu nie ma ochroniarzy – ludzi, ale udało mu się przejść przez stanowisko kontroli dokumentów bez żadnych problemów, najwyraźniej nie wzbudzając większego zainteresowania. Dalej, po lewej stronie, znajdował się szeroki jednokierunkowy portal do stacji kolejki pneumatycznej. Co prawda na dachu budynku, na parkingu dla kierownictwa, stał jego samochód powietrzny, ale plan ucieczki zakładał, że oboje porzucą swe prywatne

pojazdy, które niemal na pewno stanowiły pułapki, i na początku skorzystają z systemów transportu publicznego.

Helder przeniósł się na stację kolejki, podszedł do wynajętej szafki bagażowej, otworzył ją i wyjął z niej dwa pakunki. Jeden zawierał komplet ubrania na zmianę i lustro; drugi kilka szczelnie zamkniętych pojemników z wieloma rozmaitymi kulturami mikrobiologicznymi – wysoce wyspecjalizowanymi gatunkami drobnoustrojów, o których koncern farmaceutyczny zatrudniający doktora Haldera Leorma wiedział nie więcej, niż o metodach, przy pomocy których zostały one otrzymane.

Halder zabrał paczki ze sobą do kabiny ComWebu, którą uważnie zamknął i włączył jej osłonę, aby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Potem rozpakował oba bagaże i szybko zmienił ubranie. Otworzył pierwszy pojemnik z mikroorganizmami, wbił w niego jedną z przygotowanych strzykawek, a następnie obserwując się w lustrze wstrzyknął sobie uważnie odmierzone ilości po obu stronach twarzy. Odłożył strzykawkę i otworzył kolejny pojemnik, czując reakcje enzymatyczne, które zaczęły przebiegać przez jego ciało.

Trzy minuty później w lustrze pojawił się zupełnie obcy ciemnoskóry człowiek, z wystającymi kośćmi policzkowymi, lekko skośnymi oczyma i przyprószonymi siwizną włosami. Halder schował lustro, ubranie które miał wcześniej na sobie i resztę zawartości drugiego pakunku. Bez odpowiedniej kontroli, obce mikroorganizmy rojące się w jego krwioobiegu mogłyby szybko doprowadzić do jego śmierci, na wiele różnych niezbyt miłych sposobów. Kiedy jednak zakończyły swą pracę nad stworzeniem dla niego przebrania, zostały odpowiednio opanowane.

Wkrótce wyszedł ze stacji kolejki pneumatycznej w willowej dzielnicy Draise, na położonym czterdzieści pięter powyżej poziomu ulicy, hotelowym tarasie. Nie rozglądał się za Kilby, czy też raczej kobietą, w którą Kilby miała się zmienić po drodze tutaj. Według planu miał pojawić się tu jako pierwszy, aby upewnić się, czy nikt go nie śledził, a potem sprawdzić czy za nią również ktoś nie podążał.

Przyszła pięć minut później, wyglądając teraz jak pani lekko przy kości, mająca jakieś dziesięć lat mniej od obecnego pozornego wieku Haldera, ciemnoskóra, tak samo jak on, o podobnych charakterystykach rasowych. Podchodząc, błysnęła do niego zębami, a jej skośne oczy wysłały mu flirtujące spojrzenie.

— Nie kazałam ci chyba zbyt długo czekać, co? — spytała.

Halder wymruczał przyjaźnie:

— A jak myślisz? Łapmy taksówkę i ruszajmy dalej, zgodnie z planem.

W wyjściu z kolejki pneumatycznej, nikt się za nią nie pojawił.

Kilby skinęła ze zrozumieniem głową, pamiętając by nie oglądać się za siebie. Kiedy ruszyli tarasem w stronę rzędu czekających taksówek powietrznych, ze swadą opowiadała o jakiejś wymyślonej naprędce przygodzie, grając rolę pozbawionej smaku, krzykliwej nowobogackiej. Większego kontrastu, w porównaniu ze smukłą, spokojną, szarooką dziewczyną, o miękko opadających na ramiona brązowych włosach, z którą Halder rozmawiał nie dłużej niż dwadzieścia minut temu, trudno

byłoby sobie wyobrazić. Pomyślał sobie, że te przebrania mogą być na tyle dobre, aby mogli zostać niepostrzeżenie w samym Draise.

Ale plan tego nie przewidywał. Zbyt wiele od tego zależało.

Kilby wsiadła przed nim do taksówki, nie przerywając swojej paplaniny.

Natychmiast kiedy tylko Halder zamknął za sobą drzwiczki taksówki, aktywując jednokierunkową osłonę wizyjną pojazdu, jej głos zamilkł jak nożem uciął. Kilby wstała i nachyliła się nad przednim fotelem koło kierowcy, wyłączając komunikator. Wyprostowała się, opadła na tylne siedzenie obok Haldera, zagryzając wargi. Głowa kierowcy przekrzywiła się na bok, tak jakby zasnął. Potem jego ciało zjechało powoli ze swego fotela, znikając z pola widzenia Haldera.

— Od razu go załatwiłaś, co? — spytał Halder, włączając pulpit sterujący dla pasażera.

— Acha! — Kilby otworzyła torebkę, wsunęła do niej mały pistolet, który trzymała ukryty w lewej dłoni, wyciągnęła następnie rękę i przez chwilę ściskała dłoń Haldera. — Ty prowadź, Halder — powiedziała. — Jestem tak bardzo zdenerwowana, że zaraz zacznę wrzeszczeć. Wystraszyłam się na śmierć! Co się stało?

Halder poderwał taksówkę z tarasu, kierując ją prosto w górę.

— Mieliśmy rację z tymi naszymi wątpliwościami co do doktora Atteo — wyjaśnił. — Pół godziny temu, próbował dostać się do naszego domu, kiedy nikogo w nim nie było. Musimy założyć, że jest agentem Federacji. Pułapka przy wejściu zwaliła go z nóg, ale do tej pory pewnie rozpętało się już piekło. Federacja mogła jeszcze nie być gotowa, żeby dokonać aresztowania, ale po czymś takim, nie będą się już wahać. Musimy działać szybko, jeśli mamy zamiar wymknąć się kolegom pana Atteo.

Kilby wciągnęła niepewnie oddech.

— Ostrzegłeś Rane'a i Santin?

Halder skinął głową.

— Wysłałem sygnał alarmowy do ComWebu w ich mieszkaniu, w stolicy. W obecnej sytuacji, uznałem, że połączenie osobiste byłoby nierozważne. Będą mieli czas, aby się spakować i dostać się na ranczo, jeszcze zanim my tam dolecimy. Wtedy przekażemy im wszystkie szczegóły.

— Zresetowałeś przełącznik pułapki w wejściu do domu?

Halder zmniejszył szybkość lotu taksówki, skręcając nią w jedną z arterii przelotowych ruchu ulicznego nad Draise.

— Nie — odparł. — Znokautowanie paru kolejnych agentów Federacji, nic by nam nie dało. Minie osiem lub dziewięć godzin, zanim Atteo będzie w stanie mówić, a przy odrobinie szczęścia, do tego czasu znajdziemy się już poza planetą.

Ciemnoskóra kobieta, która była Kilby oraz kontrolowanym diabelskim rojem mikroorganizmów, pochyliła się nad nim i spytała głosem Kilby:

— Halder, jak myślisz, czy w obecnej sytuacji powinniśmy dalej kontynuować próby odnalezienia innych?

— Oczywiście. Dlaczego mielibyśmy z tego zrezygnować?

Kilby powiedziała z wahaniem:

— Odnalezienie mnie, zajęło ci trzy miesiące. Cztery miesiące później, zlokalizowaliśmy Rane'a Rellisa… i niemal w tym samym czasie Santin. Od tego czasu mamy tylko pudło za pudłem. Półtora roku minęło, półtora roku nam pozostało.

Przerwała, a Halder nie odzywał się, wiedząc że walczy o kontrolę nad głosem. Po kilku sekundach zaczęła mówić dalej.

— Zostało do odnalezienia niemal tysiąc dwustu, porozrzucanych na tysiącu planet. Większość z nich prawdopodobnie się ukrywa, tak jak my to robiliśmy. A mając na karku Federację… nawet jeśli tym razem uda nam się uciec, jaką mamy teraz szansę zebrania całej grupy, zanim upłynie nasz czas?

Halder cierpliwie wyjaśnił:

— To nie jest niemożliwe. W minionym półtora roku byliśmy zmuszeni poświęcić większość czasu na zbieranie informacji, studiowanie złożonego funkcjonowania tej gigantycznej cywilizacji – nasi mentorzy na Kalechi tak wielu rzeczy albo nie byli świadomi, albo zdecydowali się nam o nich nie mówić. A my nie działaliśmy aż tak źle, Kilby. Obecnie jesteśmy przygotowani do przeprowadzenia poszukiwań naszej grupy w metodyczny sposób. Dziewiętnaście godzin w kosmosie i znajdziemy się na innej planecie, ponownie pod przykryciem, z nowymi tożsamościami. Dlaczego nie mielibyśmy kontynuować naszego planu do czasu…

Kilby przerwała mu, nie zmieniając tonu głosu:

— Do czasu aż pewnego dnia dowiemy się, że miliardy istot ludzkich na planetach Federacji, umiera?

Wzrok Haldera utkwiony był w rozciągającej się przed nim panoramie ruchu miejskiego.

— Nie dojdzie do tego — powiedział.

— Naprawdę? Jak możesz być taki pewien? — spytała bezbarwnym głosem Kilby.

— No dobrze — stwierdził Halder. — Co innego mielibyśmy zrobić? Chyba nie sugerujesz, że powinniśmy się poddać…

— Myślałam o tym.

— I skończyć, porozdzielani mentalnie i fizycznie, w laboratoriach Federacji? — Halder pokręcił przecząco głową. — W ich oczach będziemy jedynie wytworami Kalechi… potworami. Nawet jeśli zgłosimy się sami, będą myśleli, że to jakaś sztuczka, że zdaliśmy sobie sprawę z tego, iż i tak zostaniemy złapani. Nie możemy oczekiwać zbyt wiele litości. Nie, jeśli zawiedzie wszystko inne, dopilnujemy aby Federacja otrzymała odpowiednie ostrzeżenie. Ale nie może się to odbyć, jeśli uda nam się tego uniknąć, za cenę naszego własnego życia. — Przeniósł wzrok na nią, jego oczy były pełne niepokoju. — Przechodziliśmy już przecież przez to, Kilby.

— Wiem. — Kilby przygryzła wargę. — Zdaje się, że masz rację.

Halder zjechał taksówką z arterii komunikacyjnej, zmierzając w kierunku wierzchołka wysokiego budynku, znajdującego się w odległości trzech mil po lewej stronie.

— Za kilka minut będziemy w klubie — powiedział. — Jeśli jesteś za bardzo zdenerwowana, może lepiej będzie jeśli zostaniesz w samochodzie. Zabiorę tylko nasz sprzęt do swobodnego latania, a potem zanim zwolnimy taksówkę, polecimy nią na obrzeża miasta.

Kilby pokręciła przecząco głową.

— Ustaliliśmy, że nie będziemy zmieniać żadnych szczegółów planu ucieczki, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Dojdę z tym do ładu. Po prostu pozwoliłam, by sytuacja trochę zbyt mocno mną wstrząsnęła.

Zanim wysiedli z taksówki koło swojego klubu, ustawili sterowanie nią na automatyczną jazdę w ruchu ulicznym, po losowej trasie. Natychmiast jak tylko zamknęły się drzwiczki, pojazd w zupełnej ciszy uniósł się z powrotem w powietrze i zanim jeszcze znaleźli się przy wejściu do klubu, zniknął im z oczu za budynkiem. Rejestry kierowcy wskazywały na to, że jego zmiana miała zakończyć się za trzy godziny. Do tego czasu nikt go nie będzie szukał. Miną kolejne godziny, zanim taksówka zostanie zlokalizowana, a człowiek przywrócony do przytomności. To, co mógłby wtedy wyjawić, nie będzie miało już żadnego znaczenia.

W jednym z pomieszczeń klubowych, wynajętym na pana i panią Anley, zmienili ubranie na krótkie spodenki i ubiory do swobodnego latania, a następnie pojechali kolejką na obrzeża Draise, gdzie możliwe były już loty bez użycia pojazdów. Od tego miejsca, w kierunku wschodnim, rozciągały się tereny pokryte leśnymi parkami, przeplatającymi się z niewielkimi centrami willowymi. Podłączyli swoje uprzęże do latania, do systemu transmisji energii Draise, wznieśli się na wysokość pięćdziesięciu stóp i unosili się ponad lasem, pobudzając jednostkę napędową i kierunkową do spokojnych, łagodnie zwiększających tempo lotu impulsów, które czyniły ze swobodnego latania jeden z najbardziej odprężających i przyjemnych sportów. Oraz takich – jak wcześniej wymyślił Halder – które powinny zostać uznane za mało prawdopodobne zajęcie dla dwójki ludzi próbujących uciec przed federacyjnymi systemami pościgu za przestępcami.

Przez półtorej godziny utrzymywali stały kurs na wschód, trzymając się granic obszarów leśnych, z rzadka tylko wyłaniając się z nich nad otwarty teren. Od czasu do czasu napotykali inne grupy ludzi latających bez użycia pojazdów; jako członkowie tej samej sportowej rodziny, wymieniali z nimi skinięcia rękoma i głośno wykrzykiwane pozdrowienia. W końcu otworzyła się przed nimi długa, dzika dolina, w której nie było widać żadnych śladów ludzkiego osadnictwa; na jej dalszym krańcu rozpoczynały się otwarte tereny, pocętkowane małymi farmami tytoniowymi, po których nieśpiesznie kręciły się automatyczne kultywatory. Kilby, popatrzyła przez chwilę do tyłu na Haldera, a następnie zatoczyła koło wokół jednej z farm, ześlizgując się w dół, tuż nad ziemię. Halder leciał za nią jak cień,

dwadzieścia stóp z tyłu. Wylądowali koło żywopłotu, u stóp zbocza wzgórza, pokrytego uprawami tytoniu. Niemal natychmiast, w żywopłocie otworzyła się niewielka brama.

— Witajcie ludziska, tutaj wszystko w porządku — z głośnika przy bramie odezwał się do nich głos zadziwiająco podobny do głosu Haldera.

Kiedy przechodzili przez bramę, w ich kierunku wyszedł po zboczu Rane Rellis, szczupły, rudowłosy mężczyzna, o szerokiej, kościstej twarzy.

— Odebraliśmy wasz sygnał alarmowy — powiedział, — ale, jak to zwykle bywa, sami już wcześniej zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak.

Kilby obrzuciła go zaskoczonym spojrzeniem.

— Was również ktoś próbował skontrolować?

— Nie, nie o to chodzi… przynajmniej o ile nam wiadomo. Chodźcie na górę do szopy. Santin już jest w środku góry. — Kiedy ruszyli wąską ścieżką między rzędami krzewów tytoniu, Rellis mówił dalej: — Dzisiaj nadeszły pierwsze odpowiedzi na nasze zapytania. Jedna z nich wyglądała bardzo obiecująco. Santin natychmiast poleciała swoim samochodem do Draise, aby was o tym poinformować. Jak zwykle przeskanowała wasz dom, zanim do was zadzwoniła, i odkryła czekających w środku trzech dziwnych ludzi.

— Kiedy to było? — przerwał mu Halder.

— Kilka minut po pierwszej. Santin sprawdziła natychmiast w waszych miejscach pracy, twoim i Kilby, i dowiedziała się, że obojga was tam nie ma. Wywnioskowała z tego, że ciągle jesteście na wolności i prawdopodobnie zmierzacie tutaj. Zadzwoniła do mnie, żeby mi to powiedzieć. Wasz sygnał alarmowy zabrzmiał niemal dokładnie w chwili, kiedy kończyliśmy rozmawiać.

Halder popatrzył na Kilby.

— Zdaje się, że udało nam się uniknąć aresztowania o jakieś pięć minut — zauważył sucho. — Rane, czy zabraliście ze sobą wasze rejestry?

— Tak, wszystko. Jeśli wydostaniemy się z Orado, będziemy mogli podjąć pracę niemalże w miejscu, w którym ją pozostawiliśmy.

Rane Rellis otworzył szopę na kultywator i wszedł za nimi do środka, zamykając za sobą drzwi, na zamek. Przeszli szybko przez niewielki budynek, do otwartego portalu, na położonej w jego dalszym końcu ścianie. Po drugiej stronie portalu widać było duże, pozbawione okien, jasno oświetlone i wygodnie umeblowane pomieszczenie. Portal pomiędzy szopą, a tym pomieszczeniem, rozciągał się na odległość siedmiu mil. Stanowił kluczowo ważny punkt w organizacji trasy ich ucieczki. Jeżeli ktoś ich śledził aż do tego miejsca, ślad powinien się urwać – przynajmniej chwilowo – na ranczu.

Przeszli do pomieszczenia i Rane Rellis nacisnął wyłącznik. Wejście portalu za ich plecami zniknęło. Jego urządzenia, znajdujące się w obecnie już pustym budynku na ranczu, stanęły w płomieniach i przez kilka sekund gwałtownie płonęły, topiąc się i zmieniając w wypalony żużel.

Rane stwierdził z ulgą.

— No. Teraz czuję się trochę lepiej… ale tylko trochę! Agenci federalni są dobrzy, ale nie słyszałem jeszcze o urządzeniach detekcyjnych, które mogłyby przebić się przez pięćset jardów litej skały i wykryć nas w środku góry.

Przerwał, ponieważ z sąsiedniego pomieszczenia wyszła wysoka dziewczyna o czarnych włosach i ciemnobrązowych oczach. Santin Rellis była jedyną z całej czwórki, która w obecnej chwili nie nosiła na sobie biologicznego kamuflażu. Pomimo niewielkich różnic w ich wyglądzie, mogłaby uchodzić za siostrę Kilby.

Halder opowiedział im co się wydarzyło w Draise, podsumowując:

— Wydawało mi się bardziej prawdopodobne, że podejrzenia mogą skoncentrować się na którymś z was. Zwłaszcza, oczywiście, na Santin, która otwarcie pracowała w Centrum Identyfikacji na Orado.

Santin szeroko się uśmiechnęła.

— I mniej otwarcie kopiowała tam wzorce tożsamości! — dodała. Jej twarz szybko spoważniała. — Nie ma żadnych wskazówek, co ściągnęło na ciebie ich uwagę?

Halder pokręcił przecząco głową.

— Mogę się tylko domyślać, że prace nad mikroorganizmami, którymi się zajmowałem. Sugerowałoby to, oczywiście, że mają już jakieś podejrzenia odnośnie trzyletniego planu zniszczenia Federacji przez Kalechi.

Rane dorzucił:

— Oraz, że co najmniej jedna osoba z naszej grupy została już schwytana!

— To możliwe.

Na chwilę zapadła cisza. Santin powiedziała stanowczo:

— To nie jest zbyt miły wniosek. Halder, to czego dowiedzieliśmy się ostatnio w Centrum Identyfikacji wskazuje, że teoria Rane'a jest poprawna… Każdy z tysiąca dwustu członków grupy Kalechi prawdopodobnie może w wyniku analizy zostać sprowadzony do jednego z trzech podstawowych wzorców tożsamości, przemieszanych w niezliczonych kombinacjach. Federacja nie musiałby złapać zbyt wielu z nas, aby wykryć ten fakt. Potem zaczęłaby robić dokładnie to samo, czego my próbowaliśmy – wykorzystać to do zidentyfikowania reszty grupy.

Halder skinął głową.

— Też o tym myślałem.

— Nadal zamierzasz skorzystać do wydostania się z planety, z rejsu Senla Starlight Cruisers? — spytał Rane.

— Kilby i ja, tak — odparł Halder. — Ale, oczywiście, lepiej by było, gdyby wasza dwójka wybrała któryś z alternatywnych sposobów ucieczki.

— A dlaczego? — ostro spytała Santin.

Halder zmierzył ją wzrokiem.

— To chyba oczywiste, co? Jest całkiem spora szansa, że wy nadal jesteście całkowicie czyści.

— To możliwe. Ale to nie jest zbyt dobry powód do tego by się rozdzielać. Jesteśmy jednym, dobrze działającym zespołem i powinniśmy trzymać się razem niezależnie od okoliczności. Co ty na to, Rane?

Jej mąż odpowiedział:

— Zgadzam się z tobą. — Uśmiechnął się lekko do Haldera. — Będziemy na was czekać na północnym brzegu jeziora Senla, dziesięć minut przed startem rejsu Starlight Cruisers. Czy mamy jeszcze coś do omówienia?

— Nie w tej chwili. — Halder przerwał, niezadowolony, a potem zaczął mówić dalej: — No dobrze. Nadal jeszcze nie wiemy, co Federacja jest w stanie zrobić… dany ruch może być równie dobrze błędem, jak każdy inny. A więc, wynosimy się z planety, w ustalony sposób. Kilby i ja mamy polecieć nad Senla w uprzężach, a więc chyba będziemy już ruszać.

Przeszli do drugiego pomieszczenia podziemnej kryjówki. Rane podszedł do urządzeń sterujących portalem wyjściowym, pytając:

— Gdzie mam was wypuścić?

— Niech będzie wyjście nad rzeką — odparł Halder. — Sześć mil stąd, dziewięć od rancza… to powinno być dostatecznie daleko. Zaraz jak tylko wyjdziemy, zgubimy się w tłumie wczasowiczów z Draise i stolicy.

Zapadał już zmrok, gdy Halder i Kilby wmieszali się w tłum nadbrzeżnych spacerowiczów, w kurorcie nad jeziorem Senla, nieśpiesznie zmierzając w kierunku bungalowu, który Halder kupił pod innym nazwiskiem kilka miesięcy wcześniej. Myśli Haldera nieustannie krążyły wokół szczegółów finalnego etapu ich ucieczki z Orado. Zasadniczo, plan był bardzo prosty. Za godzinę od tej chwili, mieli wyciągnąć swój niewielki krążownik międzygwiezdny z garażu jachtowego koło bungalowu, zabrać Rane'a i Santin z drugiego brzegu jeziora, a następnie przyłączyć się do grupy mniej więcej trzydziestu prywatnych jachtów, wylatujących każdej nocy z terenu kurortu w dwugodzinny rejs do statku-kasyna, stacjonującego poza planetą. Było mało prawdopodobne, aby grupowy rejs ściągnął zainteresowanie jakichś oficjalnych czynników, zwłaszcza dzisiejszego wieczora; a po dotarciu do kasyna, powinni bez trudu znaleźć możliwość by niepostrzeżenie wyślizgnąć się w kosmos.

Nie było jednak żadnego sposobu, uzyskania pewności, że ten plan… czy też jakikolwiek inny plan… zakończy się powodzeniem. Dopiero w trakcie ostatnich paru miesięcy, cała czwórka zaczęła dokładniej rozumieć zakres, w jakim ogromny, wydawałoby się luźny związek planet Federacji, był tak naprawdę zorganizowany. Jak długo znajdowali się pod obserwacją, co Federacja na ich temat wiedziała, albo podejrzewała – na te pytania w tej chwili nie znali odpowiedzi. Tak więc, Halder szedł dalej w czujnym milczeniu, starając się wypatrzeć wszystko, co mogłoby stanowić pierwszą oznakę jakiegokolwiek zagrożenia, w tłumach ludzi spokojnie przepływających wokół nich tego letniego wieczora, na nadbrzeżnej promenadzie w Senla. Był już niemal szczyt sezonu; mijani przez nich ludzie promieniowali uczuciem spokoju i odprężenia; ich głosy zdawały się stapiać w jeden, przyciszony, przyjacielski szmer. No cóż, powiedział sobie Halder, być może kiedyś, jeśli wszystko dobrze pójdzie, również on i Kilby

będą mogli sobie spacerować w takim tłumie, bez kamuflażu, bez obawy. Dzisiaj jednak, byli ścigani.

Położył delikatnie dłoń na ramieniu Kilby, i powiedział:

— Odpocznijmy chwilę na tamtej ławce.

Uśmiechnęła się do niego i odpowiedziała:

— Dobrze.

Skręciła i poprowadziła ich do niezajętej ławki, przymocowanej do drzew, na skraju chodnika. Usiedli na niej i Halder szybko zdjął z nadgarstka zegarek, otwierając płytkę zasłaniającą skaner. Bungalow znajdował się już tylko w odległości kilkuset jardów przed nimi, przy bocznej dróżce, prowadzącej od niego do jeziora. Światła w nim były pogaszone, ale kiedy skaner dotarł do niego, ciemne pokoje i korytarze zalało niewidoczne promieniowanie, pozwalając przyrządowi na zbadanie budynku. Przez jakieś dwie, trzy minuty Halder uważnie obserwował wnętrze bungalowu; potem przełączył podgląd na otaczający go teren, a w końcu na jacht i niewielki krążownik międzygwiezdny. Kilby dwukrotnie szturchnęła go ostrzegawczo, ponieważ jacyś ludzie zdawali się przejawiać ochotę by podejść do ławki, i Halder opuścił rękę. Jednak obcy przeszli koło nich, nie zatrzymując się.

W końcu założył ponownie przyrząd na nadgarstek. Nie wykrył w bungalowie żadnych oznak czyjegokolwiek wtargnięcia; a w każdym razie widać było wyraźnie, że w chwili obecnej nikt na nich nie czekał ani w samym domku, ani w jego bezpośredniej bliskości. Podniósł się z ławki i podał rękę Kilby, pomagając jej wstać na nogi.

— Chodźmy dalej — zaproponował.

Kilka minut później, szli już wąską ogrodową dróżką w stronę ciemnego wejścia z boku bungalowu. Dzisiejszego wieczora nie było widać żadnych oznak, że bungalow ma swoich właścicieli. Halder cicho otworzył kluczem drzwi i zaraz po tym, jak Kilby wślizgnęła się do środka, wszedł za nią i starannie zamknął drzwi na zamek.

Kiedy przechodzili krótkim nieoświetlonym korytarzem do pomieszczeń frontowych, Halder odebrał przez chwilę muśnięcie dziwnego wrażenia – przerażającego przekonania, że jakaś nieokreślona rzecz właśnie poszła bardzo źle. Pod jego wpływem całe ciało nagle mu zesztywniało, a każdy mięsień zastygł w środku ruchu. Poczuł, że siła bezwładności powoli przechyla go do przodu; po chwili przestał się przewracać, ale zastygł bez ruchu, ustawiony skośnie pod groteskowym kątem, zawieszony w sieci sił, których nie był w stanie wyczuć. Od strony Kilby, niewidocznej w rozpościerającej się przed nim ciemności, nie dobiegały żadne, najlżejsze nawet dźwięki.

Halder rzucił do walki całą swoją wolę i wszystkie siły, usiłując zmusić ciało do jakiegoś ruchu. Zamiast tego wezbrała w nim powoli fala zimnego odrętwienia. Wlała mu się do mózgu i na jakiś czas wszystkie jego myśli i uczucia rozpłynęły się.

Jego pierwszym świadomym uczuciem było wrażenie, że zasnął i nie wie jak się z powrotem obudzić. Nie wiązało się to z żadnym specjalnym niepokojem. Wszędzie dokoła panowała ciemność, kompletna i niczym nie zmącona.

Z dziwaczną celowością, zmysły Haldera zaczęły teraz zwracać jego uwagę na inne rzeczy. Siedział, mocno wtulony plecami w oparcie, niemal na wpół leżąc, w głębokim i wygodnym fotelu. Nie mógł się ruszyć. Ręce miał w jakiś sposób przymocowane do poręczy fotela; ale, ponadto, stwierdził że nie jest w stanie unieść swego ciała nawet trochę do przodu oraz, jak odkrył po chwili, wykręcić głowy w żadną stronę. Oddychał normalnie, mógł zamykać i otwierać oczy i rozglądać się w niezmiennej ciemności. Ale to było wszystko.

Nadal z jakimś nierzeczywistym brakiem zaangażowania, Halder zaczął pytać siebie samego, co się stało; i w tej właśnie chwili w rozbłysku zgrozy, jego pamięć ożyła. Wpadli w pułapkę… w bungalowie nad jeziorem Senla czekała na nich jakaś niemożliwa do wykrycia sztuczka federacyjnej nauki. Potem zabrano ich w inne miejsce.

Co zrobili z Kilby?

Natychmiast, niemal jakby w odpowiedzi na jego pytanie, ciemność zaczęła się przejaśniać. Ale proces ten był stopniowy; minęło kilka sekund, zanim Halder zaczął odbierać wrażenie bardzo dużego pokoju, o jakichś nieokreślonych proporcjach. Dwadzieścia stóp od niego znajdowała się plama czerni, koliste zagłębienie w podłodze. Początkowo wydawało mu się, że jego fotel jest jedynym elementem umeblowania w pomieszczeniu. Potem jednak, w miarę jak wokół niego coraz bardziej się przejaśniało, Halder zdał sobie sprawę z kilku obiektów, znajdujących się w pewnej odległości, po jego prawej stronie.

Przez chwilę próbował gwałtownie obrócić w ich stronę głowę. Okazało się to nadal niemożliwe, ale obiekty tam były, niemal na granicy jego pola widzenia. Ponownie wielkie pomieszczenie jeszcze bardziej się rozjaśniło i przez kilka sekund Halder mógł dostrzec w mroku trzy fotele z poręczami, podobne do jego, rozmieszczone może w odległości dwudziestu stóp od siebie, koliście wokół zagłębienia w środku. Każdy z foteli był zajęty; w najbliższym od niego, znajdowała się Kilby, przywrócona do swego naturalnego wyglądu, nieruchoma, z bladą twarzą skierowaną przed siebie i otwartymi oczyma. Nagle światło zniknęło.

Halder siedział wstrząśnięty, uświadamiając sobie, że próbował odezwać się do Kilby, ale z jego gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Nie dano im tutaj ani możliwości poruszania się, ani mówienia. Nie wątpił jednak, że Kilby była przytomna, ani że w dalej stojących fotelach znajdowali się Santin i Rane Rellis, chociaż żadnego z nich wyraźnie nie widział. Ci, którzy ich schwytali, pozwolili im na przelotne spojrzenie na siebie nawzajem, być może dlatego, aby ich przekonać, że złapani zostali wszyscy. Potem, kiedy zniknęło światło, spojrzenie Haldera przesunęło się na moment na jego prawą rękę, spoczywającą na poręczy fotela – trwało to na tyle długo, by zauważyć, że ciemne zabarwienie jego skóry zostało

usunięte, tak samo jak u Kilby, a więc on również zastał oczyszczony z mikroorganizmów, zapewniających mu kamuflaż.

A tego, jak jasno pokazały jego badania w Draise, nauka Federacji nie będzie potrafiła dokonać jeszcze przez całe stulecie, chyba że zapozna się z zabójczą wiedzą Kalechi.

I ponownie, jak gdyby ktoś chciał mu dać odpowiedź na zadane w myślach pytanie. W ciemnościach pomieszczenia pojawił się jasny, trójwymiarowy obraz, niemal sferycznej postaci, z tygrysimi, pomarańczowo-czarnymi pasami, balansującej na szerokim, rozdwojonym ogonie, zakończonym płetwą. Na górze sfery wystawały szypułki z oczyma; ich podłużne źrenice zdawały się wpatrywać bezpośrednio w Haldera. Po obu jej stronach zwisał szereg lepkich rąk.

Równocześnie z pojawieniem się tej projekcji, zaczął przemawiać jakiś męski głos. Nie mówił głośno, ale wyraźnie. Ponownie nierzeczywiście, jakby we śnie, głos zdawał się nie posiadać żadnego określonego źródła, tak jakby dobiegał ze wszystkich stron na raz; w Halderze zaczęło narastać otępiające przeświadczenie, że ich umysły miały być w tym pomieszczeniu systematycznie niszczone, że rozpoczął się metodyczny proces ich sekcji, który będzie prowadzony ruch za ruchem, przez godzinę za godziną, aż do czasu gdy w końcu naukowcy Federacji będą pewni, że z więźniów nie da się już wycisnąć żadnych nowych strzępków informacji. Śledztwo mogło mieć charakter zupełnie bezosobowy; ale fakt, że odmówiono im przywileju traktowania jako istoty rozumne, że nie pozwolono im bronić swojego stanowiska ani przedstawić żadnych wyjaśnień, wydawał się bardziej przerażający, niż zastosowanie celowej brutalności. A jednak, Halder przyznał to uczciwie przed sobą, tak naprawdę nie mógł nikogo winić za sytuację, w jakiej się znaleźli. Grupa Kalechi stanowiła palące i straszliwe zagrożenie. W postępowaniu z nimi, Federacja nie mogła sobie pozwolić na popełnienie żadnego błędu.

— Ten obraz — mówił głos, — przedstawia Wielkiego Satoga, oddychającego tlenem, żyjącego w wodzie tubylca z planety Kalechi. Istnieją liczne odmiany tego gatunku. Forma pokazana tutaj, ma dominujący charakter. Są oni wysoce inteligentni, w przybliżeniu jedną trzecią objętości ciała Satoga zajmuje mózg.

— Cywilizacja Kalechi bazuje na dogłębnym zrozumieniu procesów biologicznych i środków manipulacji nimi, pod tym względem dalece wyprzedza naszą własną. Te wyspecjalizowane zainteresowania wydają się wynikać z niestabilności genetycznej Satogów, czynnika, który nauczyli się oni kontrolować i wykorzystywać dla swoich własnych korzyści. Obecnie, osiedlili się na co najmniej kilkunastu innych planetach, żyjąc na każdej z nich w zmodyfikowanej postaci, która jest w pełni przystosowana do nowego środowiska.

— Nasze sporadyczne kontakty z Kalechi i ich koloniami w czasie minionych dwóch stuleci, były z pozoru przyjazne, ale obecnie wydaje się, że Wielcy Satogowie przyjęli naszą technologiczną i liczebną przewagę z

niepokojem i zaczęli szukać metody, która pozwoliłaby im zniszczyć Federację, bez ponoszenia ryzyka z ich strony. Broń mieli pod ręką – swoje ogromne umiejętności i doświadczenia w modyfikacji wzorców genetycznych rozwiniętych istot żywych, tak by dawały one pożądane zmiany. Opracowali więc plan potajemnego rozmieszczenia agentów Kalechi, na obszarze całej Federacji. Agenci ci mieli przygotować i przechować specyficzne szczepy prymitywnych mikroorganizmów, które, w wyznaczonym późniejszym terminie, miały jednocześnie zniszczyć nasze najważniejsze planety, poprzez nie mający precedensu huragan epidemii.

— Najważniejsza część planu Kalechi, składa się z następujących elementów. Dziewięćdziesiąt dwa lata temu, w tamtym sektorze galaktyki zaginął statek badawczy Federacji. Na pokładzie znajdował się człowiek, który nazywał się Ohl Cantrall, wybitny naukowiec z tamtego okresu. Obecnie wiemy już, że statek ten został pochwycony przez Wielkich Satogów, zaś Cantrall, jego personel i załoga, stali się przedmiotem szeregu prowadzonych na nich eksperymentów, i w końcu wszyscy zginęli.

— Celem tych eksperymentów było dostarczenie mistrzom-biologom Kalechi modeli nad którymi mogliby dalej pracować. Zaproponowali oni wykorzystanie wysokiej zdolności do mutacji ich gatunku, dla stworzenia typu Satogów, który byłby dokładnym fizycznym odpowiednikiem istot ludzkich i mógłby żyć na naszych planetach nie narażając się na wykrycie przez parę lat niezbędnych do zakończenia przygotowań do ataku. Odnieśli zdumiewające sukcesy. Każda grupa komórek w długich seriach modyfikacji, które zaczęły zmieniać je w stronę coraz lepszego przybliżenia wzorca ludzkiego, została przetworzona jedynie na tyle dalece, aby zainicjować najbardziej potrzebne przesunięcie możliwe w danym punkcie ich struktury genetycznej. Dzięki temu generacje komórek mogły następować po sobie co kilka godzin, przez ponad sześć dziesiątek lat.

Celem eksperymentu, ostatnim pokoleniem wydanym przez laboratoria Kalechi, byli Satogowie – kopie embrionów istot ludzkich. Etap ten obejmował w przybliżeniu tysiąc dwustu osobników, którym pozwolono rozwinąć się oraz dorosnąć, i którzy zostali wykształceni indywidualnie, w kompletnej izolacji od siebie nawzajem, przez nauczycieli-Satogów. Byli usilnie indoktrynowani, wbijano im w głowy cel ich życia… zniszczenie populacji naszych planet… i zostali doskonale wyszkoleni w sposobach realizacji tego celu.

— W końcu wszyscy oni zostali wysłani na planety Federacji. Przygotowano im fałszywe tożsamości, zwykłych obywateli Federacji, z pełnym tłem i rejestrami. Finalne instrukcje wydane tym agentom, były proste. Mieli nie robić nic, co mogłoby ściągnąć na nich naszą uwagę, nie próbować nawiązywać kontaktów między sobą. Mieli stworzyć swoje zapasy zabójczych mikroorganizmów, przygotować metody ich dystrybucji i, ustalonego dnia, za trzy federacyjne lata, uwolnić falę śmierci.

Głos przerwał na chwilę, a potem podjął dalej:

— Bardzo niepokojącą jest refleksja, że ten plan – atak przez stosunkowo niewielką rasę, posiadającą jedną wyspecjalizowaną umiejętność, na największą cywilizację ludzką w historii – niewiele brakowało, a mógłby okazać się przerażająco udany. Wielcy Satogowie przegrali jednak, po części przez zbyt dużą doskonałość swojego dzieła.

— Spośród ludzi schwytanych na pokładzie statku badawczego Ohla Cantralla, naukowcy Satogów wybrali samego Cantralla i dwie kobiety, techników z jego zespołu, jako wzorzec dla stworzenia pseudoludzkości Kalechi. Pośród tysiąca dwustu członków grupy, wysłanej do Federacji dziewięćdziesiąt lat później, łatwo można rozpoznać te trzy wzorce tożsamości. Zazwyczaj są one w różnym stopniu przemieszane, ale sporadycznie niektórzy osobnicy stanowią czysty przykład któregoś z nich.

— Ohl Cantrall w swoich czasach uważany był za wielkiego człowieka, i jego wzorzec identyfikacyjny został zapisany. Ten właśnie szczegół, w pierwszym rzędzie ujawnił cały spisek. Kiedy trzy dokładne kopie tego określonego wzorca – i znaczna liczba jego przybliżonych kopii – pojawiła się równocześnie w bankach identyfikacji w wielu bardzo odległych punktach Federacji, wzbudziło to coś więcej, niż tylko naukowe zainteresowanie. Nasz system bezpieczeństwa nauczył się już patrzeć z podejrzliwością, na tego rodzaju cuda. Niczego nie podejrzewający „Cantrallowie” zostali natychmiast zlokalizowani i aresztowani; zagrożenie dla Federacji ujawnione; oraz natychmiast rozpoczęto intensywne, chociaż raczej nie nagłaśniane, poszukiwania rozproszonych agentów z grupy Kalechi…

Głos ponownie zamilkł.

Obraz Satoga ponad zagłębieniem zniknął. W wielkim pomieszczeniu rozbłysło jasne światło. Jednocześnie Halder poczuł, że koszmarny bezruch zaczyna z niego spływać, a uczucie sennej nierzeczywistości znika z jego umysłu. Odwrócił się w prawo, napotykając utkwione w sobie spojrzenie Kilby. Zobaczył też siedzące za nią dalej małżeństwo Rellisów… Rane, już bez kamuflażu, wyglądał jak lustrzany obraz Haldera.

Nadal byli przypięci do swoich foteli. Wzrok Haldera szybko przesunął się z powrotem na środek pomieszczenia. W miejscu, w którym wcześniej znajdowało się zagłębienie, podłoga była równa, a na niej stał masywny, stół na wysoki połysk. Za stołem siedział mocno zbudowany, siwowłosy mężczyzna o silnej twarzy, twardych ustach, w formalnych szarozłotych szatach Członka Rady Federacji

— Jestem Członkiem Rady Federacji, nazywam się Mavig. — Był to ten sam głos, który przemawiał w ciemności; dobiegał teraz od siedzącego przy stole człowieka. — To ja kieruję operacją przeciwko agentom Kalechi, i do moich obowiązków należy poinformowanie ich, po aresztowaniu i przesłuchaniu, o dyspozycjach, jakie muszą zostać podjęte w stosunku do ich osób.

Zawahał się, wykrzywiając w zamyśleniu usta, niemal jakby nie mając ochoty mówić dalej.

— Zostaliście bardzo dokładnie przebadani — w końcu oświadczył. — Większość z tego zostało dokonane w czasie, kiedy byliście nieprzytomni. Ostatecznej weryfikacji waszych reakcji emocjonalnych dokonano podczas

sytuacji stresowej, która właśnie się zakończyła, i podczas której wysłuchaliście odtworzenia nagrania raportu w sprawie Kalechi. Kończy to wasze badania.

Przerwał, patrząc niechętnie, i odchrząknął.

— Stwierdzam — podjął wątek, — że pewne aspekty tej całej sprawy nadal budzą moje kompletne niedowierzanie! Do tej pory została już schwytana ponad połowa waszej grupy; pozostali są na wolności, ale pod obserwacją. Zagrożenie należy już do przeszłości. Działania Wielkich Satogów z Kalechi, będą przedmiotem bardzo dokładnej obserwacji przez nadchodzące pokolenia. Nie damy im już sposobności do powtórzenia takiej sztuczki; jak również – kiedy już przedstawimy im środki, jakie przeciwko nim zostały przygotowane – nie będą mieli najmniejszej ochoty, aby jej spróbować.

— A teraz, jeśli chodzi o was. Po tym, kiedy wytropiliśmy pierwszych kilkunastu z waszej grupy, zaczął się z tego wyłaniać zaskakujący obraz. Nie trzymaliście się pieczołowicie przygotowanych przez Kalechi instrukcji. W ten, czy w inny sposób – czasami było to wręcz genialne – próbowaliście przede wszystkim nawiązać kontakt między sobą. Po złapaniu i przebadaniu w stanie braku świadomości przez rozmaite przyrządy dochodzeniowe naszych psychologów, podaliście nam powody, dla których to robiliście.

Mavig pokręcił głową.

— Maszyny przesłuchujące uważane są za niezawodne — stwierdził. — Być może, tak jest. Ale ja nie jestem psychologiem i przez długi czas nie przyjmowałem do wiadomości raportów, jakie przy ich pomocy otrzymywaliśmy. Jednak…

Westchnął.

— No cóż, co do tego, co się z wami stanie. Zostaniecie odesłani, aby dołączyć do poprzednio aresztowanych członków waszej grupy, i pozostaniecie razem z nimi dopóki ostatni z was nie wpadnie w nasze ręce i nie zostanie przesłuchany, a wtedy…

Mavig ponownie zrobił chwilę przerwy.

— Widzicie, nie jesteśmy w stanie was oskarżyć o żadną zbrodnię! — oznajmił z irytacją. — Wręcz przeciwnie, zarówno jako indywidualne osoby, czy jako grupa, od samego początku mieliście zamiar zapobiec popełnieniu zbrodni przeciwko Federacji. Wielcy Satogowie, po prostu, zbyt dobrze wykonali swoją pracę. Zostaliście poddani najbardziej dogłębnym badaniom fizycznym, jakie były możliwe. Niezmiennie pokazują one, że wasz wzorzec genetyczny jest stabilny, oraz że w żadnym szczególe nie różni się on od generalnego wzorca ludzkiego, wyższego rzędu.

— Domyślam się, że zdajecie sobie sprawę, w jakiej sytuacji stawia to Federację! Kiedy podróbka osiąga poziom autentyczności… — Członek Rady Federacji Mavig ponownie pokręcił z niedowierzaniem głową, i dokończył: — To całkowity absurd, stojący w bezpośredniej sprzeczności ze wszystkim, co do tej pory uznawaliśmy za prawdę! Uważacie się za istoty ludzkie i uważacie, że wasze miejsce jest między nami. A my możemy się z tym tylko zgodzić.

KONIEC